



To nie jest
historia o miłości.

To opowieść
o obsesji.

OBSESJA TERAPEUTKI

VI KEELAND



VI KEELAND

OBSESJA TERAPEUTKI

PRZEŁOŻYŁA

Karolina Bochenek



TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Unraveling

Redaktorka prowadząca: Ewelina Kapelewska

Wydawczyni: Joanna Pawłowska

Redakcja: Zuzanna Kot

Korekta: Bożena Sęk

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Rytis / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2024. THE UNRAVELING by Vi Keeland

Copyright © 2025 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiectwo

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Karolina Bochenek, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-033-4

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



ROZDZIAŁ 1

Teraz

Kiedys też tak na siebie patrzyliśmy. Zanim wszystko zepsułeś.

Mężczyzna owija szalikiem szyję uśmiechniętej kobiety, pochyla się i całuje ją w czubek nosa. Odrywam od nich wzrok i ruszam dalej przed siebie. Może gdy przejdę jeszcze kilometr, zdolał w końcu oczyścić umysł, zebrać myśli i zastanowić się, co mam zrobić z resztą dnia. Z resztą mojego życia.

Mijam kolejne budynki i zatrzymuję się za dużą grupą osób czekających na przejściu dla pieszych. Jakaś kobieta sprawdza godzinę w smartfonie, chłopiec kołysze się pod ciężarem plecaka pełnego podręczników, a biznesmen w garniturze za pięć tysięcy dolarów piekło się przez telefon zapewne z powodu jakiejś nieudanej transakcji.

Jest wściekły. Pewnie potrzebuje terapii. Jak większość z nas. Łącznie ze mną.

W zasadzie to ja chyba potrzebuję jej najbardziej.

Nastolatka pali dżointa i podryguje w rytm muzyki płynącej ze słuchawek, które ma na uszach. Dwudziestolatek w luźnych dżinsach i koszulce udaje, że wcale nie odmraża sobie tyłka.

W odróżnieniu ode mnie wszystkich tych ludzi łączy jedna rzecz: mają jakiś cel, zmierzają do jakiegoś konkretnego miejsca. A przynajmniej takie sprawiają wrażenie.

Choć pewnie ja też takie sprawiam. Ostatnio jestem dobra w udawaniu, nieprawdaż?

Tylko że ci ludzie wkrótce znajdą się w swoich domach, gdzie czeka na nich rodzina, pies lub choćby gry wideo, a ja nadal będę się błąkać po ulicach tego miasta. Sama nie wiem, czego właściwie szukam, ale mam jeszcze na tyle rozumu, żeby liczyć się z tym, że mogę tego nie odnaleźć.

Może powinnam przygarnąć psa? Przynajmniej to moje łażenie miałoby sens. Ale musiałabym go karmić. Zwlekać się z łóżka wczesnym rankiem i wyprowadzać czworonoga, żeby nie obsikał dywanów. Okazywać mu miłość i troskę.

Czuję gulę w gardle. Nie jestem w stanie zobowiązać się do żadnej z tych rzeczy. Zwłaszcza do ostatniej.

Światło zmienia się na zielone, a ja pozwalam, by fala ludzi poniosła mnie na drugą stronę ulicy. Potem skręcam za róg i kilka sekund później znajduję się pośród kamienic z brunatnej cegły. Gdy zwalnim, ktoś się o mnie ociera i omija mnie w pośpiechu. Kolejna osoba, która dokąś zmierza.

Wiatr szumi w gałęziach, strącając na mnie deszcz żółtych i pomarańczowych liści miłorzębu. Kiedyś nieomal tu zamieszkaliśmy, w jednej z kamienic w Gramercy Park. Ściany przedpoju były pomalowane na błękitno, a okno gabinetu wychodziło na miasto. Czy nasze życie potoczyłoby się inaczej, gdybyśmy wybrali ten dom, a nie mieszkanie w wieżowcu? Czy ta jedna decyzja odmieniłaby nasz los i stałbyś tu teraz obok mnie?

Puszczam wodze fantazji. To dzielnica, w której ludzie zakładają rodziny. Może mielibyśmy już dziecko? Wzięłabym roczny urlop, byłabym uważniejsza i zorientowałabym się, w jak bardzo

złym stanie psychicznym jesteś. Pewnie byłbyś w trasie – grałbyś mecz w Michigan lub Kanadzie, a moja praktyka, zamiast podupadać, wspaniale by się rozwijała. Może zatrudnilibyśmy do pomocy opiekunkę? Może... tylko może.

Porywisty wiatr przedziera się przez poły mojego płaszcza. Zawijam go mocniej. Już od wielu godzin snuję się po mieście. Powinna chyba wracać do domu. Ale po co?

Gałęzie drzew się kołyszają, a spadające liście muskają moje buty. Samotny żółty liść łobuzersko wplątuje mi się we włosy. Podnoszę rękę, żeby go z nich wyciągnąć, i akurat wtedy tuż obok przejeżdża taksówka, niemalże się o mnie ocierając. Cholera. Nawet nie zauważyłam czerwonego światła. Kiedy cofam się na krawężnik, wpadam na stojącą za mną osobę i o mało się nie przewracam.

– Wszystko w porządku, proszę pani? – dopytuje dwudziestolatka w trenczu Burberry, trzymająca na biodrze dwulatkę z uroczymi warkoczykami ubraną w taki sam płaszcz. W popychanym przez kobietę wózku w stylu vintage dostrzegam ssącego kciuk malucha.

Znów jak bumerang wraca do mnie przebłysk tego, co mogło się wydarzyć. I co już nigdy się nie wydarzy – przez ciebie.

Sięgam do kieszeni płaszcza i odnajduję palcami breloczek do kluczy. Twój breloczek. Ten, który przypomina mi o wszystkich naszych nadziejach i marzeniach. Uspokaja mnie. Na tyle, na ile to obecnie możliwe.

– Proszę pani? – Kobieta, o której zdążyłam już zapomnieć, podchodzi bliżej. – Wszystko w porządku?

Odwracam wzrok, bo widok jej dzieci za bardzo przypomina mi o tym, co mogliśmy mieć.

– Tak, dziękuję.

Wracam tą samą drogą, którą tu przyszedłam. Przyspieszam kroku, jakbym uciekała. Tylko przed czym? Nieważne, to i tak

nie ma znaczenia. Spoglądam w dół, na szary beton, a potem w górę, na równie szare niebo. Kiedy zerkam w bok, widzę swoje odbicie w witrynie sklepowej: bladą szczupłą twarz ze zbyt wyraźnymi kośćmi policzkowymi i pociągłym podbródkiem. Puste oczy, niegdyś jasnozielone, stały się matowe, też niemal szare. Powinnam przynajmniej zrobić sobie pasemka i ożywić ciemno-blond włosy.

Nad drzwiami mijanego przeze mnie lokalu brzęczy dzwonek, co przyciąga moją uwagę. W oknie zauważam chłopaka i dziewczynę z nieśmiałymi uśmiechami na twarzy, siedzących nad papierowymi kubkami z kawą. Wchodzę do środka, stoję w kolejce i znów zatracam się w anonimowości miasta.

Rozglądam się. Nigdy jeszcze nie byłam w tej kawiarni. Może dopiero ją otworzyli? Niewiele dostrzegałam przez ostatni rok, a przecież świat wokół mnie nieustannie się zmieniał.

Kolejka się przesuwają, a ja razem z nią. Nie spodobałoby ci się tutaj: zbyt jasne oświetlenie, gwar kilkudziesięciu głosów, syk spienianego mleka, warkot młynka. I kawa za siedem dolarów.

– Dzień dobry. Co mogę podać? – Kobieta z uśmiechem odslaniającym ząbki i blond kucykiem wydaje mi się nieco zbyt podekscytowana przyjmowaniem ode mnie zamówienia.

– Kawę. Czarną poproszę. – Podaję jej gotówkę, odbieram resztę i przesuwam się dalej, zatrzymując wzrok na żurawinowo-pomarańczowej drożdżówce. Próbuję sobie przypomnieć, czy coś dzisiaj jadłam.

– Czarna kawa dla Meredith! – rozlega się po kilku minutach głos baristki.

Zdejmuję rękawiczkę, żeby wziąć do ręki papierowy ciepły kubek i trochę się nim ogrzać, po czym rozglądam się po pomieszczeniu w poszukiwaniu wolnego stolika. Jest tylko jeden, przy wejściu. Przynajmniej będę mogła poobserwować przechodniów.

Na zatłoczonych chodnikach turyści zaopatrzeni w torby z zakupami gapią się na wysokie budynki, a miejscowi narzekają pod nosem, że muszą ich omijać. W ciągu zaledwie kilku minut przechodzą tędy setki ludzi. Morze obcych twarzy znika w oddali w tłumie.

I wtedy niespodziewanie... dostrzegam znajomą twarz.

Pochyliam się, ignorując to, że blat wbija mi się w żebra. Wpatruję się w tego mężczyznę. W osłupieniu przykładam dłoń do piersi, a serce galopuje mi jak szalone.

Nie, to nie może być on.

Oliwkowa cera, ciemna broda, szczupła sylwetka. Uśmiecha się i rozmawia z kimś przez telefon. Nagle wybucha... śmiechem, takim pełną piersią, unosząc głowę ku niebu. Nie, tamten człowiek nie mógłby się tak śmiać. W końcu przeszedł przez jeszcze większe piekło niż ja.

Ściskam kubek tak mocno, że gorąca kawa wylewa się z niego i parzy mnie w rękę. Patrzę na swoją zaczerwienioną skórę i czuję rozchodzący się po niej ból.

O dziwo, to przyjemne uczucie. Pieczenie przynosi mi zaskakującą ulgę.

To kompletnie niewłaściwa reakcja. Potem będę ją pewnie analizować godzinami, ale teraz... Znowu skupiam uwagę na chodniku za oknem. Ten mężczyzna jest znacznie bardziej interesujący.

Wstaję z krzesła, wyrzucam kubek z ledwie tkniętą kawą do najbliższego kosza na śmieci i w mgnieniu oka wybiegam na zewnątrz przez drzwi z brzęczącym dzwonkiem. Mężczyzna szybko kroczy chodnikiem, wymijając pieszych, wśród których się chowam.

To jak podążanie za duchem.

Tyle że to nie on zmarł.

Tylko oni.

A my tu zostaliśmy. Ja i on – oboje w stanie zawieszenia między światem żywych a umarłych.

Gabriel Wright. Ostatnim razem, kiedy go widziałam, czułam się podobnie. Cała odrętwiała, nieobecna. Tamtej nocy nie dowierzałam temu, co się dzieje.

Znów wsuwam rękę do kieszeni i sięgam po breloczek, żeby pomógł mi odpędzić złe wspomnienia. Nie mam jednak czasu na uspokajanie się, bo muszę przyspieszyć, żeby nie zgubić mężczyzny. Ruszam więc w pościg za nim. Gabriel trzyma ręce w kieszeniach i skręca za róg. Opuszcza Gramercy Park i kieruje się na południe w stronę East Village. Nie jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy podążają w tym kierunku. Staję za trzema kobietami z przewieszonymi na przedramionach o wiele za dużymi torbami na zakupy, przypominającymi trofea z polowania. Turystki. Są idealną zasłoną dymną, za którą mogę się ukryć.

Chcę wiedzieć, co on robi, dokąd zmierza. Skąd się tu wziął? Właśnie tutaj. I przede wszystkim: czy naprawdę jest szczęśliwy? Ta jego roześmiana twarz... Cóż, na pewno na tyle szczęśliwy, żeby się śmiać. Odczuwać radość po wszystkim, co ty mu zrobiłeś.

Gabriel zatrzymuje się przy kiosku. Na chodnik wylega tłum wynurzających się z wieżowca pracowników biurowych w garniturach. Jest już po dziewiętnastej. Błąkam się po mieście od południa. Powinnam wrócić do domu, zamówić sobie coś do jedzenia, znaleźć jakieś konstruktywne zajęcie...

Ale nie potrafię zmusić się do tego, by spuścić go z oczu. Przykładam telefon do ucha, żeby osłonić twarz, podczas gdy on spogląda dookoła, czekając w kolejce przed kioskiem. Następnie płaci telefonem za paczkę papierosów – to jakaś marka w białym opakowaniu – a potem chowa ją do kieszeni.

Ogarnia mnie przemożna chęć zbliżenia się do niego. Pewnie i tak by mnie nie skojarzył. W zasadzie nigdy się oficjalnie nie poznaliśmy. Po prostu przeszliśmy razem przez piekło.

Gdzieś w tym szpitalu leżałeś ty.

A w innej sali jego żona i dziecko.

Czuję kwaśny posmak w gardle – to przez wypicie kawy na pusty żołądek i emocje związane z pogonią za mężczyzną, od którego powinnam trzymać się z daleka.

Gabriel stoi przy kiosku jeszcze chwilę. Znowu się uśmiecha, tym razem podczas pogawędki ze sprzedawcą.

Cofam się, opieram o ceglana ścianę i wyciągam niewielki notatnik, w którym niegdyś zapisywałam, co mam do zrobienia. Nie korzystałam z niego od tygodni, a może nawet miesięcy. Bo i po co, skoro i tak nie miałam niczego w planach? Ale teraz wreszcie coś w nim bazgrołę.

Gabriel Wright

Sprawdzam godzinę w telefonie, jakby to była niezwykle istotna informacja, i wracam do pisania.

Czwartek, 19:13

Szedł East 15th Street. Zatrzymał się przy kiosku na rogu.

Palacz.

Śmieje się. Uśmiecha. Szczęśliwy?

Koncentruję się na ostatnim słowie. W dzisiejszych czasach szczęście wydaje się niemalże snem lub bajką. Marzeniem małej dziewczynki dorastającej w popieprzonym domu i w głębi duszy zdającej sobie sprawę, że to wyłącznie iluzja, która nigdy się nie urzeczywistni.

Gabriel uśmiecha się ciepło do sprzedawcy i rusza dalej spokojnym spacerowym krokiem, tak swobodnym, jakby nie miał absolutnie żadnych zmartwień. Mam ochotę nim potrząsnąć i krzyknąć: „Naprawdę jesteś szczęśliwy?! Jak to możliwe?” albo: „Wiem, że udajesz. Po prostu jesteś w tym lepszy ode mnie. To niemożliwe, żebyś tak szybko doszedł do siebie. Nie po tym, co ci zrobiliśmy!”.

To nie ma najmniejszego sensu.

Jego zachowanie jest dla mnie kompletnie niezrozumiałe.

Oddech więźnie mi w gardle, gdy mężczyzna przyspiesza. Muszę pójść za nim jeszcze kawałek. Nie, ja nie muszę, ja tego wręcz potrzebuję. W końcu, po raz pierwszy od miesiąca, mam jakiś cel. Ogarnia mnie przemożne pragnienie, by uzyskać odpowiedź na dręczące mnie pytania.

Oglądam się za siebie i w tłumie napotykam wzrok młodej kobiety z długimi blond włosami oraz mnóstwem książek w rękach. Przez chwilę odnoszę wrażenie, jakby chciała mi coś powiedzieć, ale nie... Pewnie po prostu chce, żebym zeszła jej z drogi. Spieszy się gdzieś, jak wszyscy w tym mieście – oprócz mnie.

Ale teraz pierwszy raz od dawna ja też mam cel.

Choć nie mam pojęcia, dokąd właściwie idę ani co się stanie, kiedy tam dotrę, to wiem, że muszę podążać za tym człowiekiem.



*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](#)

 [wydawnictwo.kobiece](#)